

Idę poboczem

24 października 2012

Jechałem busem, teraz idę poboczem drogi. Wtedy była późna zima albo bardzo wczesna wiosna, teraz pięknie dogasa lato, rozkwita jesień. Tam była Małopolska, tu jest Wielkopolska. Tu nie ma busów, nie ma też właściwie autobusów, poza szkolnymi od poniedziałku do piątku, pomijając czas wakacji. Nie jeżdżą również pociągi, ku radości chwastów, ziół i zbóż, bujnie rozkwitających i zarastających tory. Jesteśmy jakieś czterdzieści kilometrów od Poznania, ponad dwadzieścia lat po Polsce Ludowej, sprawiedliwość dziejowa i społeczna zachichotały się tutaj na śmierć i spoczywają pod przydrożnym krzyżem, obok małej flaszki po żubrówce i kartonika po soku pełnym witamin i utrwalaczy oraz – reklamowanych w telewizji – szczęścia, samospełnienia i relaksu. Trzeba jednak przyznać, że jest tu bardzo ładnie i umierające ze śmiechu dwie damy wybrały miejsce zgonu wedle najlepszych wzorów malarstwa rodzajowego. Sam mógłbym tu kiedyś umrzeć, na tym rozgrzanym poboczu szosy, obok drzew, które kojarzę z dzieciństwa, i obok tutejszego nieba, które chyba mnie jeszcze pamięta.

Idę niespiesznie i na podstawie obserwacji pobocza analizuję wybory konsumpcyjne rodaków: od papierosów, przez przekąski, po alkohole. Choć może lepiej byłoby mówić o tym, jakie preferencje konsumpcyjne narzucili nam specjaliści od marketingu. Jest ciepło, idę w stronę Manieczek, „osady im. Józefa Wybickiego”, jak informował w zamierzonych czasach wielki napis wjazdowy do wsi. Rytmicznie wybijam krok, marsz, marsz, Wołodźko. Marsz, marsz, idą ze mną cień i pamięć o czasach, gdy tutejszymi drogami przejeżdżały nyski, żuki, maluchy, duże fiaty, polonezy, wołgi, bizony, ursusy i przerośnięte, wielkie radzieckie traktory, nie wiedząc, że niebawem zardzewieją w zapomnieniu, że traktorzyści przejdą na rentę, a ludzie dobrej, partyjnej roboty przesiadą się do mercedesów. Marsz, marsz, Wołodźko, uff, jak gorąco, puff jak

gorąco, stoi na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna i pot z niej spływa – tłusta oliwa. Stoi i sapie, dyszy i dmucha. Stop, stop – nie ma lokomotywy, zamknięte na cztery spusty dworce kolejowe, zamknięte szkoły podstawowe, jedna, druga, trzecia. Jest autobus, zbiera wiejskie dzieci na blaszanych, podniszczonych przystankach; jesień, zima, wiosna, autobus wyrzuca dzieci przed szkołą, lekcje zaczną się za półtorej godziny. Deszcz, mróz, ciemno, blaszana wiata, czekanie na szkolnym korytarzu – uczą życia. Tu jest Polska, nie Norwegia. Pisma do dyrekcji PKS w Śremie nic nie dały – mówi mama, emerytowana polonistka. Patrz, Wybicki, na syf, z nieba.

Idę. Nad brzegiem Warty mężczyzna sika w nurt rzeki. Piszę. Choć na dobrą sprawę lepiej będzie zapalić papierosa, żeby dać odpocząć pamięci. Słucham „Zesłania studentów” Kaczmarzkiego, ale myślę o strajku dzieci we Wrześni w roku 1901. Czytam nowy „Kontakt” z obszernym działem na temat polskiej edukacji. I informację o rekordowej liczbie szkół zamkniętych w tym roku: „Samorządy twierdzą, że likwidacja szkół jest dla nich jedynym sposobem, żeby chronić własne budżety. Zamykają placówki nawet wbrew negatywnym opiniom kuratorów. W woj. lubelskim w tym roku zniknęło 126 placówek (planowano zlikwidować 135), w Małopolsce 135 (z planowanych 143), a w Wielkopolsce aż 151 (o 21 mniej niż planowano)”. Słucham – „pędzimy przez polską dzicz / Wertepy chaszcze błota / Patrz w tył tam nie ma nic / Żałoba i sromota”...

Idę pieszo, ze spuszczoną głową, powoli, Ziemia, planeta ludzi, toczy się leniwie pod stopami, coraz dłuższy cień, coraz szybciej zapada zmrok, senne dzieci będą czekać pod blaszaną wiatą, coraz dalej i dalej od domu – tyle jeszcze szkół do zamknięcia, trochę tu jeszcze cywilizacji do rozbiórki, władza nie ustaje przecież w wysiłkach. Żałoba i sromota, polska dzicz. Idę w kierunku Manieczek. Marsz, marsz Dąbrowski? Jaka to melodia dogorywa w tym byle jakim państwie? Jeszcze Polska nie zginęła... Jeszcze nie? W rowie leży butelka po popularnym napoju energetycznym. Pytanie konkursowe: jaki

spot reklamowy nadaje się najlepiej na nasz nowy hymn? Jaki tekst? Ale urwał, ale urwał, ale urwał! – póki my żyjemy?

We wzmiankowanym „Kontakcie” wywiad z profesorem Tomaszem Szkudlarkiem, zatytułowany „Walka klas”. Profesor mówi: „Powinniśmy uniemożliwiać elitom ucieczkę w kierunku enklaw uprzywilejowania. Utrudniamy budowę zamkniętych osiedli i zapobiegamy powstawaniu bardzo selekcyjnych szkół. Nie robiąc tego, doprowadzamy do zaistnienia lawinowego rozwarstwienia społecznego”. I jeszcze: „Szeroka koalicja ciężko pracuje dziś na to, by uczniowie uzyskiwali jak najlepsze wyniki w wystandaryzowanych testach. Szkoły są tym zainteresowane ze względu na miejsca rankingowe, rodzice – w trosce o kariery swoich dzieci, same zaś dzieci – z myślą o przejściu do następnego etapu edukacji. (...) Ta sytuacja zaczyna wywierać wpływ na kulturę pokoleniową. Możemy wręcz mówić o instytucjonalnym spacyfikowaniu najmłodszej generacji. Jej przedstawiciele kompletnie stracili zainteresowanie buntem, nie mają wyobrażenia, że mogliby kolektywnie działać na rzecz jakiejś zmiany. Szkoła uczy młodych ludzi rywalizacji i daje im nadzieję wyłącznie na indywidualną emancypację: każdy może coś dla siebie znaleźć, pod warunkiem, że wypadnie lepiej od swoich rówieśników. Sprywatyzowana wizja wolności i zindywidualizowana wizja sukcesu nie są podpięte pod żaden interes pokoleniowy, społeczny czy klasowy. Te kategorie zostały zatarte”. Ale choć zakamuflowany, interes klasowy wciąż istnieje: „My po prostu chcemy [do segregacji] doprowadzić. My – to znaczy dominujące grupy społeczne. (...) W rezultacie rodzice wybierają takie szkoły, w których ich dzieci mogą spotkać się wyłącznie z dziećmi z rodzin o podobnym statusie społecznym”.

Na najbardziej podstawowym zatem poziomie, bo dzisiejsze dzieci to będzie za 20-30 lat polska teraźniejszość, dochodzi do coraz ostrzejszej segregacji kulturowo-ekonomicznej. Za segregacją idzie petryfikacja społeczeństwa, które wciąż nie stworzyło odpowiednio szerokiej klasy średniej ani nie ma elit

w większości innych niż nowobogackie. Klasy niższe będą zatem stopniowo pozbawiane kultury wyższej jako elementu własnej tożsamości, ale także identyfikacji ogólnospołecznej czy narodowej. Mówiąc wprost: dzisiejsza antyedukacja jest drogą do dziedziczenia nie tylko biedy, ale i katalizatorem wynarodowienia. Nie jestem szczególnie zdziwiony, że nie dostrzega tego część prawicy, tak chętnie szermującej patriotycznymi hasłami. Jest ona dość skutecznie otępiona neoliberalnymi sloganami, które przyjmuje jako jedyne antidotum na rzeczywistość. Popularność home schoolingu, (katolickie) prywatne szkoły dla bogatych i bogobojnych – rodzina jest najważniejsza, społeczeństwo nie istnieje, albo istnieje mimochodem, jak uliczne przedstawienie rozgrywane za oknami nieco lepszego świata. Ale któregoś dnia w społeczeństwie spauperyzowanym i pozbawionym wspólnych kodów kulturowych i uniwersalnych intuicji etycznych obróci się to przeciw piewcom uciekającej we wsobność rodziny. I wtedy klasy (nieco) wyższe odczują ze zdumieniem, że nie ma sensu wołać „do braci Polaków”, jak nie miało to sensu, gdy szlachta nagle ku swej zgryzocie odkryła, że nic nie obchodzi pańszczyźnianego, nieustannie poniewieranego chłopstwa; więcej: że budzi jego gniew i resentymenty.

Tak, wiem, prawica walczy dziś o lekcje historii. Jest to jednak walka Polski „milusińskiej” i cokolwiek zapyziałej w myśleniu o świecie – ze skutkami, nie z przyczynami zjawiska. Podobnie z instytucjami kultury – większość znanych mi przedstawicieli prawicy ma jakiś ulubiony teatr, operę czy polonijną rozgłośnię radiową na obczyźnie, na które raptem „nie ma pieniędzy”. Wtedy podnosi się larum i lament – finis Poloniae! Koniec świata! Nie wiedzą, zatroskani milusińscy, że „innego końca świata już nie będzie”, że rzecz już dawno przesądzono i teraz powoli dogasa ta cywilizacja – „i tak się właśnie kończy świat, nie hukiem, ale skomleniem”. A przecież lepiej im nie mówić o polityce społecznej rozumianej inaczej niż „socjał”, o obowiązkach państwa wobec kultury – wiadomo, PRL i socjalizm. Chcieliście taniej Polski? „No to ją macie,

skumbrie w tomacie, pstrąg"... A będzie jeszcze tańsza, zaś wy będziecie gardłować za zmniejszeniem podatków, a równocześnie płakać po swoich ulubionych filiżankach, rozjeżdżanych gąsienicami czołgu toczącego się pod wolnorynkowym sztandarem.

Idę wielkopolską drogą. Ja idę. Ty idziesz. On, ona, ono idzie. My stoimy w osobnej kolejce po darmowy obiad w przyszkolnej, sprywatyzowanej stołówce, w oczekiwaniu po lekcjach na szpetnym, śmierdzącym dworcu na przepełniony pociąg, oni jeżdżą do prywatnego liceum samochodami rodziców. Ala ma kota, ale nie ma na tornister. Ola ma Asa, As ma kły, pilnuje posesji rodziców. Taką Polskę zapamiętają z młodości, taka ich ukształtuje, takie będą Rzeczypospolite, jak tej młodości na zasyfionych dworcach, w przepełnionych klasach czekanie i chowanie. Taka będzie elita, jaka jej obcość i odrębność od niżej stojących klas.

Idę poboczem, pilnując stóp przed koleinami, mijam nadajnik telefonii komórkowej, drewniany smukły krzyż, rdzewiejącą wiatę PKS, mijam wschody i zachody słońca lata i jesieni. Słucham barda: „A nas tych kilka małych miejsc wciąż boli”.

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)